

# KAMENA

MIESIĘCZNIK  
LITERACKI

ROK IV

NR **2**

ROK IV **KAMENA** NR 2 (32)  
MIESIĘCZNIK LITERACKI  
PAŹDZIERNIK 1936 R.

---

TREŚĆ NUMERU DRUGIEGO:

TADEUSZ BOCHEŃSKI	Małe pomniki człowieczeństwa str.	29
JÓZEF ŁOBODOWSKI	Rekruci . . . . .	33
MIECZYS. JASTRUN	Wiek żelazny . . . . .	34
OLGA DAUKSZTA	Sierpień markizy Agnieszki . . . . .	35
MIECZ. LURCZYŃSKI	Chałturyn . . . . .	38
HENRYK CZERKIES	Burza . . . . .	39
MIECZYS. LISIEWICZ.	Z ostatniej głębiny . . . . .	40
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Preludia . . . . .	40
J. KAMIL WEINTRAUB	Wspomnienia o Cecylii . . . . .	41
LEW GOMOLICKI	Poezja w diasporze . . . . .	42
JURIJ IWASK	Notatki prowincjonalne . . . . .	44
KAZ. AND. JAWORSKI	Spolszczenia z rosyjs. poezji emigr. . . . .	50
	Przekłady z poezji niemieckiej . . . . .	53
	Kronika słowiańska . . . . .	55
	Noty . . . . .	56

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

Motyw wenecki

---

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniewski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezcki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

---

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr  
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (niebieskim). Numer okazowy „Kameny” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

---

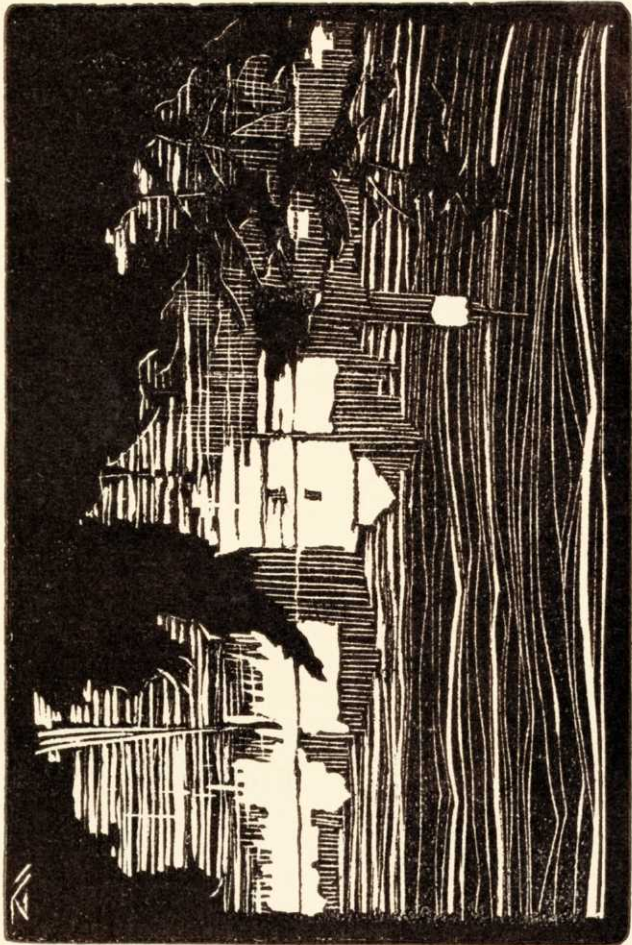
Opóźnianie w płaceniu prenumeraty powoduje opóźnienie w wysyłce pisma ze względu na wysoką opłatę pocztową numerów jako druków.

---

CENA NUMERU 60 gr.

---

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



# K A M E N A

## MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK IV PAŹDZIERNIK 1936 R. NR 2 (32)

### MAŁE POMNIKI CZŁOWIECZEŃSTWA

Pierwsza księga „Fraszek“ Jana Kochanowskiego zaczyna się sześciowerszowym drobiazgiem „Do gościa“:

Jeśli darmo masz te książki,  
a z pełną w waku pieniążki,  
chwałę twą rzecz, gościu bracie,  
bo nie przyjdiesz ku utracie.  
Ale jeśliś dał co z taszki,  
nie kupiłeś, jedno fraszki.

Konwencjonalne raczej poniżenie rodzaju lirycznego w ogóle, niż istotna prawda o wartości „Fraszek“ jako wyrazów człowieczeństwa i jako osiągnięć artystycznych.

Różne zresztą te osiągnięcia. Rozpiętość bardzo znaczna: od błahych żartów aż po świetne, głęboko przejmujące poematy. Oto przykład, fraszka „O żywocie ludzkim“:

Fraszki to wszystko, cokolwiek myślimy,  
fraszki to wszystko, cokolwiek czynimy.  
Nie masz na świecie żadnej pewnej rzeczy:  
próżno tu człowiek ma cò mieć na pieczy.  
Zacność, uroda, moc, pieniądze, sława:  
wszystko to minie, jako polna trawa.  
Naśmiawszy się nam i naszym porządkom,  
wemkną nas w mieszek, jako czynią łątkom.

Wemkną nas w mieszek, jak łątki czyli marionetki w mieszkach-futerałach po widowisku ukrywają. Kto? Bezpodmiotowe zakończenie fraszki jakież pyszne! Oni, one, tajemnicze, obojętne, wiekuiście sobie bytujące moce.

Utwór ten, na motywie słowa „fraszki“ zbudowany, przeciwi się ocenie fraszkarstwa, którą przytoczyłem na początku. Jest pierwszym w książce ogłoszeniem ludzkiego tragizmu, pierwszym wstrząsem ontologicznym, acz bardzo delikatnym.

I plotą się igraszki z najgłębszymi przeżyciami serca i umysłu. Plecie się oryginalność z przeróbkami albo wręcz przekładem utworów antycznych, sprawą w czasach Odrodzenia nierzadką i szanowną.

## Lecz oto śliczna fraszka „Na lipę“:

Gościu, siądź pod mym liściem a odpoczni sobie:  
nie dojdzie cię tu słońce — przyrzekam ja tobie —,  
choć się nawyższej wzbije, a proste promienie  
ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie.  
Tu zawždy chłodne wiatry z pola zawiewają.  
tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.  
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły  
biorą miód, który potem szlachci pańskie stoły.  
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,  
że człowiekowi łącno słodki sen przypadnie.  
Jabłek wprawdzie nie rodzę, lecz mię pan tak kładzie,  
jako szcep najłódniejszy w hesperyskim sadzie.

Pełnia. Pełnia i pewność. I jakie wyczucie wartości słów!  
Harmonia dźwięków i szelestów językowych tak doskonała, że  
podziw zbiera czytelnika. Przecie to wiek szesnasty, pierwszy  
dopiero poeta! Ale właśnie mistrz.

Wypowiedzcie np. wiersz dziewiąty i dziesiąty. Czyż nie  
świetne te aliteracje, to *S* i *SZ* wiersza dziewiątego? A rytm,  
pocięty sugestywnie słowostopem: „cichym |szeptem| sprawić  
umiem | snadnie“! Kołyszą, usypiają dobrotliwie kroki tego  
trzynastozgłoskowca. W następnym, kiedyśmy już uśpieni, fala  
śmielsza. I błogie, śliczne *ł*. Lecz owo *ł* prawdziwe, nie zredu-  
kowane ani nie zastąpione półsamogłoskowym *u*. *Ł*: ozdoba,  
skarb głosowni polskiej. Jakże smutno, że od zachodu napływa  
dziś zamiast niego brzydka, ryjkowata oku, kocia słuchowi  
postać *u* i że forma koniugacyjna „*miał*“... miauczy za panią  
kotką: *miau*.

Lecz wróćmy do Kochanowskiego.

Powszechnie znana fraszka „Na zdrowie“ to okaz tak os-  
tatecznej prostoty, że krok dalej, a spadlibyśmy w przepaść ba-  
nalnego prozaizmu. Wielki artysta umie jednak stąpać samą  
krawędzią, a stąpa pewnie i swobodnie, że każdego ucieszy.

Taka sama prostota odznacza fraszkę „Na dom w Czar-  
nolesie“. Nie odczujemy żadnej koturnowości, żadnej pozy, nie  
urazi nas fałszywa literackość ani zblazowanie i przewrotność.  
Afirmacja życia, naturalne, szczerze pożądanie zdrowia tu  
i tam. Zresztą także zdrowia duchowego:

...Ja, Panie niechaj mieszkam w tym gniaździe ojczystym,  
a Ty mnie zdrowiem opatrz i sumnieniem czystym,  
pożywieniem uczciwym, ludzką życzliwością,  
obyczajmi znośnymi, nieprzykrą starością.

Śmierć, miłość, bogomyślność, kontemplacja przyrody, za-  
bawa i wesołość, słowem: wszystko, co ludzkie, ożywa się  
„Fraszkami“.

Posłuchajmyż apostrofy „Do snu“:

Śnie, który uczysz umierać człowieka  
i okazujesz smak przyszłego wieka,  
uśni na chwilę to śmiertelne ciało,  
a dusza sobie niech pobuja mało:  
chceli, gdzie jasny dzień wychodzi z morza,  
chceli, gdzie wieczór gaśnie pozna zorza  
albo gdzie śniegi panują i lody,  
albo gdzie wyschły przed gorącym wody.  
Wolno jej w niebie gwiazdom się dziwować  
i spornym biegiem z bliska przypatrować  
a jako koła w społecznym mijaniu  
czynią dźwięk barzo wdzięczny ku słuchaniu.  
Niech się nacieszy nieboga do woli,  
a ciało, które odpoczynek woli,  
niechaj tymczasem tesknice nie czuje,  
a co to nie żyć, w czas się przypatruje.

Nie wierzył zapewne Kochanowski w „harmonię sfer“ ani w swobodną wędrówkę duszy uśpionego po ogromach wszechbytu: lecz właśnie o ten ogrom niepojęty idzie, o kosmiczne wzruszenie, o lirykę umierania jednostkowego na przejmującym religijnie czy metafizycznie tle wieczystej tajemnicy.

Poezję przyrody jednoczy z bogomyślnością śliczna „Modlitwa o deszcz“:

Wszego dobrego Dawca i Szafarzu wieczny!  
Tobie ziemia, spalona przez ogień słoneczny,  
modli się dżdża i smętne zioła pochyłone  
i nadzieja oraczów, zboża upragnione.

Ściśni wilgotne chmury świętą ręką swoją,  
a one suchą ziemię i drzewa napoją,  
ogniem zjęte. O który z suchej skały zdroje  
niesłychanie pobudzasz, okaż dary swoje!

Ty nocną rosę spuszczasz, ty dostatkim hojnym  
żywej wody dodawasz rzekom niespokojnym,  
ty przepaści nasycaś i łakome morze,  
skąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.  
Kiedy ty chcesz, wszystko świat powodzią zatonie,  
a kiedy chcesz, od ognia jako pióro wspanie.

Wierszy miłosnych wiele. Wyróżniają się zręczne, potoczne parafrazy „Anakreontyków“, zabawi ten i tamten figiel. W księdze trzeciej spotykamy jednak hymn do miłości, który przytaczam:

Gdzie teraz ono jabłko i on klejnot drogi,  
który mógł zahamować nieścięgnięte nogi  
pierzchliwej Atalanty? Gdzie taśma szczęśliwa,  
która serca i myśli upornych dobywa?  
Ciebie na pomoc wzywam, ciebie, o miłości,  
której z wieku używa świat dobroćliwości,  
która spornych żywiołów gniew spinasz łańcuchem,  
dna morskiego i nieba sięgasz swoim duchem,  
lwom srogość odejmujesz i zubrom północnym,  
użyte serce dajesz bogatyrom mocnym.  
Ty mię ratuj, a swoją strzałą uzłoconą  
ugódź w serce a okróć myśl nieunoszoną  
zapamiętałej dziewczki, której ani skokiem  
człowiek dogonić może: ledwie zażrzeć okiem.

Miłość urasta tu w element kosmiczny, w czynnik ładu i spojenia, jak u Hezjoda, jak w erotydiach tespijskich. Ale czy ten, co kocha, choćby nawet nie znał filozofów i poetów starożytnych, nie bywa skłonny do takich uogólnień? Bywa.

Wśród żywiołów, którymi karmi się poeta, jakoż nie dojrzeć natchnienia? Ci nawet, co natchnienie teoretycznie zwalczają, muszą się do niego — choćby pod innym nazwaniem — uciekać, gdy chcą uczciwie wytłumaczyć fakt niezaprzeczony artystycznego dobierania i obecność w poecie gotowych, samoczynnie się napraszających środków czyli chwytów artystycznych.

Bezkrytyczny kult natchnienia może się wyrodzić w automatyzm, może niebezpiecznie zamaskować i na miejsce bacznej, odpowiedzialnej twórczości wprowadzić ślepy nawyk i zabójcze rutyniarstwo. Negacja natchnienia jako stanu psychicznego, który tworzenie warunkuje i umożliwia, musi być kłamem lub co najmniej niedokładnością widzenia.

Kochanowski czuje elementarność i tajemniczość owych składnic, skąd płyną nam pomysły artystyczne, owego bieguna, którym istota osobnicza tonie w bezmiarze bytu pozaindywidualnego. Nie użyje terminologii dzisiejszej, nie wymieni „podświadomości“ ani „wyobrażeń zredukowanych do swych zabarwień emocjonalnych“, lecz napisze utwór symboliczny, który mocno i przejmująco wystawia rolę i samopoczucie artysty:

Fraszki nieprzeplacone, wdzięczne fraszki moje,  
w które ja wszystkie kładę tajemnice swoje,  
bądź łaskawie fortuna ze mną postępuje,  
bądź inaczej, czego snadź więcej się najduje.  
Obraliby się kiedy kto tak pracowity,  
żeby z was chciał wyczerpać umysł mój zakryty,  
powiedźcie mu, niech próżno nie frasuje głowy,  
bo się w dziwny labirynt i w błąd wda takowy,  
skąd żadna Ariadna, żadne kłębki tylnie  
wywieść go móc nie będą: tak tam ścieżki mylne.  
Na koniec i sam cieśla, który to mistrował,  
aby tu rogatego Chłopobyka chował,  
nie zawždy do wrót trafi: aż pióra zszychtuje  
do ramienia, toż ledwie wierzechem wylatuje.

Otóż i prawda o liryce, najwieczystszym rodzaju poetyckim. Labiryntem jest forma, Minotaurem — rogatym, dziwnym Chłopobykiem treść, ale skrzydeł trzeba każdemu, kto zajrzeć i wyrzeć z labiryntu pragnie.

Bez skrzydeł ufności (poecie trzeba wierzyć) i sympatii (poezję trzeba kochać) lepiej już w błędniaki dzieła sztuki nie wstępować.

Srebrne nici jesieni gasną w ostromleczu.  
 Na nasypie oknami pod słońce błysnął ostatni wóz.  
 Muzyczne skrzydła nad nami.  
 Muzyczny wieczór  
 przebiera ciche struny palcami białych brzóz —  
 do wtóru drży nieśmiało potargany szuwar, —  
 złowieszczą luną płonie ciężki zachód  
 i noc bez gwiazd i wiatru zza wzgórz się wysuwa,  
 noc pełna zjawisk i strachu.

Umiera ziemia wonna końskim potem.  
 Cóż my... Za krokiem krok, pod nogą żwiru skrzyp...  
 W ogniska siwym dymie lecą iskry złote,  
 zapala się od iskier wewnątrz szyb —  
 i jaśniej ponad miastem, a dokoła mroczniej —  
 a wiatr północny chyli się do kolan...  
 — Starannie na zagładę sposobiony rocznik,  
 mijamy zwiędłe, zamroczone pola.

Gdzież szumią dęby, które nam położą  
 liście na skronie? Gdzie jest cień i chłód? —  
 Idziemy w tłumie ku wieczornym zorzom,  
 za nami las i siność wód —  
 bagnetów stal hartowna krok nasz ubezpiecza,  
 senne powieki młodym oczom ciężą —  
 poczętych i zrodzonych w cieniu miecza  
 znów świat zaślubia nierdzewnym orężom.

Toczy się ziemia i w liliowych krzaczach  
 migocą pierwsze gwiazdy. Nim do ocz zagarnę  
 znikomą piękność świata, a trujący strach  
 zamroczy serce, zanim skrzydła czarne  
 okryją głowę... Głuchy tupot nóg,  
 skrzywienie skóry i odgłos żelaza...  
 Roiteś długo. W sen twój wkroczył wróg  
 i oczy zakrył i na serce wskazał.

Gdy cicha noc powieki skleci chłopcom  
 i blask osrebrzy deski zamikłym podłogom,  
 porzuci myśl na chwilę tę skorupę obcą,  
 z której się ciała wyzwolić nie mogą,  
 wstanie przed wzrokiem fiołkowy zmierzch,



wachlarze trzciny i pokrzyk czajek —  
krokami uchodzących ponad rzeką wierzb  
odmierzysz wszystko, co się zgniść nie daje...

I w sen głęboki ciężką skroń zanurzysz —  
nurt siny cię poniesie, fala cię opłucze.  
Na czarne skrzydła morskiej burzy  
bezsilnie padną żórawiane klucze.  
Gorący wiew wybiegnie przeciw złotym skrom,  
ogarnie cię płomieniem, iżbyś długo płonął...  
Nad tobą jasność, nad jasnością grom...  
Ockniesz się rankiem — a w oczach czerwono.

Wtedy w rozgwarze, w huczącej gromadzie,  
codzienną sprawę obojętnie czyniąc,  
pojdziesz, kto na twym czole zamię kładzie —  
świat zda ci się więzieniem, a ziemia pustynią,  
dostrzeżesz:

— oto ludzie, żądzą szczęścia kłuci,  
zbiegli się w wielki, oszalały łańcuch...  
Wzrokiem do snów północnych nie powrócisz.  
I wyjdiesz w pole. I staniesz na szańcu.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

## WIEK ŻELAZNY

Ciężką przyłbicę dnia podnoszą z krzykiem.  
Dekalog zbrodni i mimika małpia  
Pychy stulecia. Hełmy karnych kadr,  
Ogniste stopy, piszczele muzyki.  
Młodzieńcy wietrzą dziki stepu wiatr,  
Potworni starcy śliniąc śnią o skalpach.

Drzewa — oszczepy wparte w noc, gdy obok  
Już w rzece zorzy, co nabiegła krwią,  
Pastuchy poją złe, bojowe konie.  
Konie kłują, kopią ciemność, rżą.  
Po wzgórzach dudniąc biegnie deszcz jak doboz.  
W mroku błyskają mokre, zimne bronie.

Próżno z pochodnią w ręku szukasz ludzi.  
Wodzowie — trumny, wodzowie — stulecia,  
Wodzowie, — pożar, modlitwa i miecz.  
Przechodzą w mgłę od tarcz świejących rudzi

Bez oczu i bez warg. Na zgiętych plecach  
Dźwigają garby ze skóry. O, zbudź się,  
Już łąka pachnie, w puchu stoi mlecz.

Wróć do oddechu pierwszych traw wiosennych,  
Puch ostromlecza, sen na dłoni zważ.  
Uciekaj w głucho samotnych jaskinie.  
Ujrzysz na nowo odzyskaną twarz,  
Gdy ślad ostatni bóstw i imion ciemnych  
Jak zodiak gwiazd wygasłych skrzydła zwinie.

MIECZYŚLAW JASTRUN

### SIERPIEŃ MARKIZY AGNIESZKI

(urywek z poematu „Pańszczyzna”)

Przepiękny sierpień jest ponad Bałtykiem,  
dnie jeszcze ciepłe, nie słyhać bałwanów  
i zimnych wichrów. Pod słońca dotykem  
woda na morzu jest szczęściem rozdręganą  
srebrzysto-modrym i pachnie goździkiem  
w sadach nadmorskich i nikotianą.

Coś się spełniło, coś niby spotkanie  
dawno czekane... znów będzie rozstanie.

Bór zastygł w ciszy, zliliował od wrzosów,  
polanek szmaragd jak małe jeziorka  
zalane ciepłem. Cisza bez odgłosów,  
bez ech i szmerów, bez śród, czwartków, wtorku,  
bez dat, obliczeń, jak milczenie losów.  
Wiejski włóczęga do zgrzebnego worka  
napycha zielsko i szepcze zaklęcia,  
by pański hajduk nie przerwał zajęcia.

A w grafskim lesie borówki... borówki...

Toną w jagodach chodaki dziewczęce  
i kwitną ostów fioletowe główki.

Wystarczy kwiecie na leki i wieńce,  
a zielska na chleb w głodniejsze przednówki,  
wrzos na girlandy Najświętszej Paniencie,  
a w dni żałoby w jesienne Zaduszki  
pójdą na groby z borówek wianuszki.

Gundega, Milda, dwie pańskie poddanki,  
szukają grzybów w leszczynowych krzakach,  
na głowach mają z cząbrów wonnych wianki,  
a nogi małe w lipowych chodakach.  
Gdy zaś wracają, w koszykach rumianki

leżą na grzybach i czerwonych makach.  
Idą śpiewając, a słońce sierpniowe  
spogląda w oczy dziewcząt szafirowe.

By dojść do dworu, trzeba przejść miasteczko,  
wspinać się w górę, gdzie w rowach ożyny  
czarne nabrzękły. Uliczki nad rzeczką  
stoją w czerwieni, to tlą jarzębiny  
zarzewiem buntu jak czerwoną świeczką,  
którą zapalą w ostatnie godziny  
Bożego Sądu dwaj Archaniołowie  
z wiankiem błyskawic na płonącej głowie.

Przed pańskim dworem klomby kadzielnice  
wieją lewkonią, groszkiem i goździkiem,  
a dwa cyprysy niebieskie iglice  
podniosły w górę zachmurzeń pomnikiem.  
Na ścieżkach leży słońce jasnolice  
i na Agnieszce przed białym stolikiem,  
gdy siedząc składa goździki czerwone,  
czarno-czerwone jak usta spalone.

W odwiecznym sadzie z zielonych jabłoni  
spadają jabłka złociste, pachnące,  
sznur jabłek krasnych na gałęziach płonie,  
a pod drzewami leży blade słońce.  
Kobieta z dzieckiem w słonecznym zatonie  
zbiera owoce w kosze się złocące.  
Chłop kosę rzucił, czoło z potu chłodzi,  
usiadł pod gruszą w sierpniowej pogodzie.

— — — — —

Przepiękny sierpień jest w grafskich majątkach,  
cichy, słoneczny, przejrzysty jak życie  
dobrze przeżyte, jak na kołowrotekach  
zwinęta przędza. Niby złote nici  
śpiewają dzionki o najcichszych prządkach,  
których rękami utkana o świcie  
niebiesko-lila wśród jabłoni ścieżka,  
po której idzie markiza Agnieszka.

Suknię ma w pasy różowe i szare,  
z jedwabiu szytą w paryskiej pracowni,  
z pod niej trzewiczków jak gołąbków parę  
wysuwa dziobki. Włosy jak w żarowni  
czerwone węgle, płonące pożarem,  
na wąskie barki spadają czarownie

i zieją grozą, szaleństwem, zniszczeniem,  
a twarz Agnieszki jest białym marzeniem.

Markiza błądzi po sadzie męzowskim  
i śpiewa piosnkę najprostszą, łotewską,  
choć oczy pani ma czarne i włoskie,  
choć świat uważa za żart, humoreskę,  
lecz lubi nutę łotewskiej swej wioski,  
pieśń modlitewną, rozszlochaną, wiejską.  
A lud od niej stroni i szepcze po chatach,  
że pani w nocy nad pałacem lata.

A gdy się śmieje z tych baśni grafini,  
mówią wieśniacy, że płacze ktoś w rzece,  
jak stwór topiony na dnie w szklanej skrzyni,  
dziewczęta dworskie żegnają się w męce.  
śni się im Dzidra wisząca na linie  
przed pani oknem w najnowszej sukience  
danej przez grafa „w przyjezdnym podarku“,  
kupionej drogo na lipskim jarmarku.

To było dawno. Sześć lat, może więcej,  
legło pomiędzy tym dniem a dzisiejszym.  
Na fortepianie paliły się świece,  
gdy zmarła Dzidra i ktoś okropniejszy  
niż śmierć prowadził markizy w takt ręce  
po klawiaturze w ten wieczór dziwniejszy  
ponad misterie, gdy kubek łez ciężkich  
spijał Giovanni w rytm serca Agnieszki.

Teraz inaczej. Ot, złocą się wozy  
zbożem na drogach. Pszenica i żyto.  
Markiza patrzy oczami Spinozy  
na owies, jęczmień i ozon błękitu  
wdycha do piersi. A nie ma już grozy  
w sercu mdlejącym—ni dna—ani szczytu —  
jest tylko spokój, jest sierpień i żniwo,  
sieć drobnych zmarszczek popod brwi cięciwą.

Lecz są nieznaczne. Tylko bardzo z bliska  
można je spostrzec te zmarszczki pod okiem.  
Któż będzie szukał? A więc niech z pastwiska  
zabrzmie fujarka swym echem głębokim,  
ostatnie ptactwo niechaj z nad urwiska  
zanuci zorzom, różowym obłokiem  
niech legnie cisza ne serce Agnieszki,  
gdy patrzy w profil męża czarodziejski.

Czemu, Chałturyn, krzyku czerwoną rubachą się wwiercasz  
 I na oczy ci czarne spada motyl gwiazd —  
 Toś ty Zimowy Pałac wstrząsnął dynamitem serca —  
 To ty — ronsewalski wjazd  
 Odbyłeś, pokonany Rolandzie!

W ten dzień  
 Na placu Admiralicji,  
 Gdy ciemne w otokach świateł gazowych płatki śniegu  
 Tańczyły tajemnicze wariacje,  
 Odplywem huczących brzegów  
 W czarną nicość rozpękły się zręby tragicznego dnia,  
 By wychynąć za chwilę gorącym krzykiem tłumu.

Ty mów,  
 Stefanie Chałturyn,  
 Jak po stopniach  
 Sołowiejowych strzałów,  
 Po których  
 Car jaszczurką pełził w słonecznym wąwozie ulic,  
 Biegłeś,  
 By wybuchem bomb budzić wystygłe  
 Echa —  
 A już oddychał  
 Komitet Wykonawczy podkopem na Małej Sadowej  
 We dnie i w nocy  
 I rozpalone nienawiścią głowy  
 Szły stroić szubienice ciężarnym owocem.

Ty mów,  
 Stefanie Chałturyn,  
 Makabryczny woźnico kabrioletu wśród dymu,  
 Gdy w Odesie czekały  
 Rewolwerowe strzały  
 Jak na bulwarach pijane diaków chóry —

Ty mów strzępem swych płuc wypłutych i lufą rewolweru  
 I kaszlem kul rwij w szmaty czarny łachman nędzy;  
 Na pięć dni w kazamaty wchodzisz zwilgły parów,  
 By nie wyjść więcej.

I takeś skradł swe siły i oddał piwnicom,  
 Że cię wlec musiał żandarm w pętlę szubienicy.

W odebrane bębnom werble lecących grud,  
'odobne w zwilgłym zmierzchu do żółtych z hebla otrąb,  
Choć zległy chłodem piasku na oczu zapadły chłód  
W tej Odyssei odeskiej — wskrzeszają wielkie Jutro.

MIECZYŚLAW LURCZYŃSKI

## B U R Z A

Zaciągnęły się nad miastem  
bataliony chmur  
dwuszeregiem  
— jeden  
zwarty mur.  
Milcząco  
wrogo  
czekały na rozkaz.  
Krótki błysk stali  
Ognia!  
Poprzez niebo  
ciąć szpadą błysk  
i grzmot —  
— toczenie pustych beczek  
i grube krople potu  
z poszarpanych brudnych szmat  
na żar bruku  
na asfalt.

Coraz częściej —  
poprzez niebo  
paralele ognia.  
Coraz więcej —  
grubej berty trzaski  
i ciurkiem  
z ran otwartych chmur  
woda — jak czerwień krwi  
na żar asfaltu  
na bruk.

Potem —  
perspektywa śliskiego asfaltu  
wbija się w usta nieb  
a w powietrzu  
— ozon  
— chłód.

HENRYK CZERKIES

## Z OSTATNIEJ GŁĘBINY

Wokół czarna toń spokojna, nieprzytomna  
pośród milczących skał — bez gwiazd, bez dna, bez nieba...  
nie wołała, nie krzyczała... ogromna nie widziała nic  
była ślepa...

Niosła wzdłuż swego ciała zielone latarnie  
szukała żeru dwojgiem zwisających rzęs...  
było głucho, ślisko, zimno, marnie...  
żyć trzeba...

Jakieś nieznane walki czekały na nią wśród liści  
zamarłych w grozie alg i rozpostartych koralii...  
czyjaś śmierć musi być, gdy czyjeś życie się iści...  
głód wiecznie pali...

Niosła wzdłuż swego ciała zielone latarnie,  
świeciła nimi dla innych, nieznanych ulic...  
było wokoło zimno, nieubłaganie marnie...  
była ślepa — nie widziała nic...

Płynęła w ciche przestrzenie, bez dnia i nocy przestrzenie  
płynęła wieczyście chciwa czekając aż los błędzący  
ostatnie wód głębinę ostatnią walką zczzerwieni  
przemocy...  
MIECZYŚLAW LISIEWICZ

## PRELUDIA

### I

Las to, czy słów już wojna  
niekrwawa?  
Prawda gotowa, strojna,  
czy tylko surowa, znojna  
do innej prawdy zaprawa?  
Wybieram, odmierzam, kroję,  
wodzem sieczystym stoję  
wśród zdań.  
Prężą się, pędy puszczają,  
w jedyny gąszcz dojrzewają,  
krzepną, dostojne trwał.

## II

Tłum dźwięków. Układ układów.  
Nie znasz, nie kochasz tego.  
A to koło mnie biegło,  
a to przeze mnie płynęło,  
powodnią w gwiazdy się spięło,  
powodnią ciebie przyniosło,  
wiosło.

Nie umiem bez ciebie płynąć,  
nie umiem w niebo zawinąć  
ni dźwiękiem.

Jesteś okrętem i wiosłem,  
kompasem, żaglem i chlebem.  
Karmisz, poruszasz, prowadzisz,  
porywy niesforne ładzisz.  
Dźwiękami, tobą i niebem  
karmiony, palony, szczuty  
przez bytu się toczę odmetry,  
dźwiękami i tobą pojęty,  
dźwiękami i tobą struty,  
dźwiękami i tobą święty.

TADEUSZ BOCHEŃSK

## WSPOMNIENIE O CECYLII

Zieloność oczu lśni pełniej niżeli zieleń traw  
puszystych Połonin.

Wiatr: mały smutny człowiek na pagórkach jak na strunach gra  
w krajobrazie górskim widzialnym przez otulające oczy  
dłonie.

Malutkie słowa wypieszczone pluszową czerwienią warg  
okrągłej i nikoną w czyichś smutnych oczach  
zapatrzonych w południowy skwar  
odpływający ku nocy.

A już  
powrót zapachniał świerkami ukąpanymi w trawie  
rozstaniem dziwnych spojrzeń do szyb wilgotnych przyłgnał.

Smutna i pełna Połonin kremowa fotografia:

małe palce otuliły oczy by utonąć w twych włosach  
Cecyliu.

JERZY KAMIL WEINTRAUB



Rosyjska literatura emigracyjna, czy jak ją sami Rosjanie nazywają, „zarubieżna“ (t. j. za rubieżami Rosji) jest różnorodna i wieloimienna. Oprócz pisarzy starszych, którzy zdobyli sławę jeszcze w Rosji, występuje obecnie w literaturze już drugie pokolenie poetów-debiutantów na emigracji. Nie mówiąc już o takim ośrodku kulturalnym jak Paryż, w którym przebywa większość rosyjskich pisarzy-emigrantów, w szeregu państw pracują teraz młode związki literackie. Wymienię najważniejsze z nich: „Skit“ w Pradze, wydaje zbiorowe prace swych członków (założ. ok. r. 1925); w Pradze istniał przedtem drugi związek — „Daliborka“. W Berlinie do ostatnich czasów pracowało koło literackie, które wydawało wspólne zbiorki autorów. W Białogrodzie — „Nowy Arzamas“ i Środy Literackie (wyd. prace zbiorowe). W Wyborgu — Tow. Przyjaciół Literatury wydaje własny organ „Pismo Przyjaciół“. W Tallinie był Cech Poetów, przy którym zaczęły ukazywać się almanachy literatury — „Now“ wychodzące i dotychczas, W San-Francisco — „Ziemia Kolumba“ wydaje własne almanachy. W Charbinie „Wrota“, w Szanhaju — „Poniedziałki“. W Charbinie i Szanhaju oraz w innych miastach na Dalekim Wschodzie i w Ameryce związki „Młoda Czurajewka“ i in. W Warszawie od r. 1921 do 1925 istniała „Tawerna Poetów“ a od r. 1929 do 1935 — „Przyjaciele literatury“ („Litieraturnoje Sodrużestwo“), na których zebrania przychodzili w swoim czasie skamandryci. Tutaj J. Tuwim czytał swój przekład „Jeźdźca miedzianego“ i Wł. Słobodnik — „Pieśni o kupcu Kałasznikowie“.

Koła te stanowią środowiska literackie karmiące młode talenty. Liczba młodych poetów, którzy wystąpili w ostatnich latach ze swymi zbiorkami wierszy, sięga przeszło 80 (piszę na podstawie ułożonego obecnie przez warszawski związek pisarzy słownika, który będzie ogłoszony w „Nowi“). Poetów tych łączą z jednej strony tradycje z futuryzmem rosyjskim szkoły Chlebnikowa (znaczący też wpływ późniejszego futuryzmu w osobie Pasternaka — po tej drodze idzie głównie praski „Skit“) i z prądami poakmeistycznymi z drugiej (uczestnicy drugiego gumiliowskiego Cechu Poetów: Gieorgij Iwanow, Gieorgij Adamowicz, Nikołaj Ocuł, Irina Odojewcewa i in. — emigranci paryscy). Jest to tradycja akmeizmu rosyjskiego, który szukał w stylu lirycznym krańcowej prostoty, a za mistrza swego uznał Innokientija Annińskiego (poety dla wybranych, omal nie rosyjskiego Baudelaire'a (zm. w r. 1909)

Są zresztą ugrupowania, jak belgradzki „Nowy Arzamas“, które dążą do wskrzeszenia tradycji pierwotnego, czystego akmeizmu gumiliowskiego. Jeden z najbardziej utalentowanych młodych poetów, Boris Popławski, zmarły w r. 1935 w Paryżu, wyrósł na wpływach obcych a przede wszystkim ojca nowej poezji francuskiej — Rimbaud'a. Popławskiego nazywają pierwszym surrealistą rosyjskim. Trzeba tu wprowadzić poprawkę: twórczość Popławskiego stanowi syntezę dwóch wpływów — Rimbaud'a i Błoka.

Istnieje jeszcze zupełnie odrębna linia, łącząca młodych poetów z Mariną Cwietajewą: to poszukiwania nowej formy ściśle związane jednocześnie ze źródłem poezji rosyjskiej — twórcami ód 18 wieku — oraz poszukiwania nowych bohaterkich tematów. Do tych poetów należał Nik. Gronski, autor „Belladony“, który zginął w r. 1934. Zbliża się do tego prądu obecnie młody poeta i teoretyk literacki Jurij Iwask (Estonia).

A teraz osobne nazwiska: z wcześniejszych i już uznanych przez krytykę: Dowid Knut — wydał trzy zbiorki wierszy: „Moje tysiąclecia“, Paryż 1925, „Druga książka wierszy“, Paryż 1928 i „Noce paryskie“, Paryż 1932, lirwk, główny temat — „radość istnienia“, najlepsze jego rzeczy — cykl wierszy białych. Antonin Ładinski wydał „Czarne i błękitne“, Paryż 1929 i „Północne serce“, Paryż 1930; obecnie przygotowuje do druku zbiorek „Pięć zmysłów“; bogaty i różnorodny talent liryczny, przewyciężający tematy liryczne. Władimir Smolenski — wydał zbiorek „Zachód“, Paryż 1931, obecnie przeszedł do liryki politycznej. Jurij Tierapiano (wydał zbiorki „Najlepszy dźwięk“, Monachium 1926 i „Bezszenność“, Berlin 1935) wraz z Jurijem Mandielstamem (zbiorki „Wyspa“, Paryż 1930, „Wierność“, Paryż 1932 i „Godzina trzecia“) — są typowymi przedstawicielami akmeizmu. Z poetów wyróżnionych niedawno przez krytykę wymienić należy Anatolija Szteigera (wydał trzy zbiorki, z których najlepszy ostatni, „Niewdzięczność“, tematem i artystyczną prostotą przypomina „Kołysankę jodłową“ Liberta. Szteiger mieszka w sanatorium w Szwajcarii. Wiktor Mamczenko wydał w r. 1932 swój pierwszy zbiorek „Ciężkie ptaki“, jest to talent swoisty, idący własnymi drogami na poszukiwanie stylu lirycznego.

Z poetów Dalekiego Wschodu najbardziej utalentowani są Arsienij Niesmietow (wyd. zbiorki „Wiersze“, Władywostok 1921, „Tichwin“, tamże 1922, „Występy“, tamże 1924, „Krwawy odblask“, Szanhaj 1929, „Bez Rosji“, Charbin 1931);

W siewołod Iwanow i Marianna Kołosowa. W Ameryce mieszka poeta Boris Wołkow (wyd. w r. 1933 zbiorów). W Białogrodzie — poetka Jekatierina Tauber, — której zbiorów „Samotność“, Berlin 1935, zwrócił powszechną uwagę. Z grupy praskiego „Skitu“ wyróżniają się: siostra Szeigera Ała Gołowina (zbiorów „Łabędzia karuzela“ Berlin 1935), Emilia Czegrinciewa (przygotowująca książkę do druku), Tatiana Rathaus (córka poety starszej generacji — Rathausa), Jewgienij Hessen (Giessen) i in.

LEW GOMOLICKI

## NOTATKI PROWINCJONALNE

Palę papierosa.

Wypalić tak — tego jednego papierosa, aby nigdy więcej nie palić, wypalić zupełnie, aby on mnie „wpałił“ w siebie. I oto nie ma już palącego, ani papierosa, ani samego palenia, tylko siny dym wolnej śmierci; śmierć zupełna.

Tak, wypal papierosa i umrzyj, napisz wiersze i umrzyj, weź nagrodę w biegu na 500 m., nawiąż komunikację z marsjanami, roztop lody polarne i umrzyj.

Korzyść i pożytek, dobro, prawda i piękno, sława, pierwsze lepsze natrętne idee lub obrazy, niezbędne dla początku, dla tego, by zabrać się do pracy, i każde z nich — to zagadnienie specjalne.

Ale gdyś już przystąpił do ukochanego dzieła, wszystkie te podniety już są po tamtej stronie, za burtą.

„Raj“, „nirwana“, „postęp“, „społeczeństwo bezklasowe“ — w procesie samej pracy nic cię do wszystko nie obchodzi. Ale za tymi wszystkimi słowami — jedyne konieczne słowo: wynik, śmierć; dokonać — umrzeć.

Praca: wniknięcie w rzecz i samooddanie się w rzeczy (i samej rzeczy) — trzeciemu: śmierci.

Czy do pomyślenia jest inny koniec pracy?

Bo cóż więcej, gdyś już wszystkiego dokonał?

„Konspirator“ Dostojewskiego o tym, żebym tylko chciał pić herbatę; czy warto pracować, krzątać się — dla wieczystej harmonii?

Zupełnie słusznie.

Gwizdać na „harmonię“ i gwizdzą — nie tylko ci, co de-  
lektują się herbatą, ale i ci, co duszę za harmonię oddają. Od-  
dają na chwałę „harmonii“, nie dla niej samej, ale dlatego, że  
w danej chwili nie można inaczej; teraz, na tej właśnie dro-  
dze najwygodniej roztrwonić siebie, umrzeć.

I ujrzał Bóg wszystko, co stworzył, i oto wszystko dosko-  
nałe. I był wieczór, i było rano: szóstego dnia.

Ale dlaczego Bóg nie umarł, nie skończył się?

— Nie oddał, nie roztrwonił wszystkiego, zaoszczędził si-  
łę? Nie chciał oddać wszystkiego.

Czy też nie mógł ugasić swego nieskończonego pragnienia.

A ugasić pragnienie — to już nigdy nie zaznawać prag-  
nienia.

Po cóż to wieczyste pragnienie?

Głos Sulamity — pokrzepcie mnie winem, orzeźwicie  
jabłkami, albowiem omdleвам z miłości.

Tak! Jabłek ci się zachciało, wina, pokrzepić się, albo-  
wiem mało ci. Mało — lewa ręka jego pod mą głowę, a pra-  
wa mnie obejmuje.

Mało — znowu, więcej, dalej.

I czyż to nie kłamstwo — miłość jak śmierć mocna.  
Mocnej śmierci nic już nie potrzeba.

Śmierć bez jabłek i bez winogron.

A miłość potrzebuje, miękka jest, nienasycona.

Jeśli zaś prawdą jest — miłość... jak śmierć i śmierć...  
jak miłość, to i śmierć potrzebuje, nudzi, przynagla.

Dziewiąta fala miłości spada i wznosi się druga dziewiąta  
fala na morzu śmierci.

A więc nie ma śmierci—nie ma końca? Niepokój, ruch,  
męczące pragnienie, wciąż gaszone i nigdy nienasycone.

Cóż męki Tantalą?

Oto Sulamita już pije i nie napije się.

„Co gorsze“, „co lepsze“? — suche, czarne wargi przy  
samej wodzie—Tantal, czy wargi suche i w wodzie — Sulamita.

Tantal — męczennik, „nierób“, a Sulamita, jakżeż —  
„robi“, pije i w żaden sposób nie może „roboty dokonać“,  
napić się — i śmierci nie ma — końca, wieczność całą pije.

Gdzie śmierć prawdziwa? Nie ta ziemską, biorącą

i zwracająca zdobycz życia — innemu życie, gdzie śmierć nie nasza, nieziemska, nie zwracająca, niewątpliwa, ostateczna?

„Spoczął w Panu“ — nieporozumienie. Spoczynek u Boga, spokój — chyba „na jedną wieczność“, na „drugą“ wieczność — spoczywającego zbudzi grzmiące bicie boskiego pracującego serca.

Zmęczyły Boga te biedne, nieszczęsne tłumy, szukające u Niego odpocznienia. Przez słabość ducha uspakajał ich, ale wielki będzie gniew Jego w onej godzinie: tak, kiedyż wy narzecie zapomnicie o Mnie i zaczniecie żyć: po bożemu bez Boga. Mówię wam: zawsze braliście imię moje nadaremno. Zabraniam wam myśleć o Mnie, i ogień niebieski spadnie na ziemię, i w jednej chwili zetrze z oblicza wszystkich ksiąg ziemskich imię: Bóg. Nie zachowa się ono nawet w podaniu o Jakubie.

Zapomnieć o Bogu i iść bożymi drogami: czyż nie jest to właśnie dopełnienie jego zamysłu. Porzuć dom ojca swego i matki swojej.

„Człowiek, który zapomniał Boga, wpada w sidła szatańskie“. Przypuśćmy.

Ale w takim razie — cóż jest wart człowiek?

Szatan „odpadł“ od Boga i zaczął niszczyć jego dzieło. Ale czyż nie zbrzydnie, nie uprzykrzy się — kusić, uwodzić.

Nudnawy jest hetman ciemności u Goethego, Byrona, Lermontowa, Dostojewskiego. Czyż nigdy nie wpadnie na szczęśliwą myśl — a czybym tak nie spróbował zrobić Bogu konkurencji. Pokusić się mnie, duchowi zaprzeczenia, o działalność dodatnią i tak ociosać i urządzić ten świat, by Gospodarz zadrżał ze zdumienia i zachwytu. Zapewne Bóg kocha jeszcze swego „upadłego“ anioła i może szatan — to nieszczęśliwy bezrobotny, któremu powinniśmy znaleźć pracę, puścić w ruch otchłań niebytu.

Ale co będzie, jeśli złośliwy zgodzi się, zabierze się w pocie czoła do budowy i oto w ostatniej chwili, gdy już zostaną rozesłane zaproszenia na ostatnią ucztę, spiata figla i wszystko w proch się obróci.

Trzeba się liczyć z taką „artystyczną“ niespodzianką.

Ale czy praca się od tego zmienia?

Nie udało się, widocznie — za mało chcieli, źle przemyśleli, sami są winni i oto wynikł skandal u kresu (a szatan jak i Bóg — w nas mieszka).

Ukorz się, dumny człowieku, — rzekł wielki pisarz. Nie, — bądź dumny, do końca dumny bierze całą winę na siebie, całą odpowiedzialność.

Oddać, żeby wziąć (ofiaruj, a otrzymasz zbawienie) — czyż nie na tym polega sens każdej religii.

Nie, wziąć wszystko, a potem wszystko oddać, na nic nie mając nadziei.

Wziąć, aby więcej było do oddania — nie tej zwykłej śmierci, wypadkowej, ale pełnej, wolnej.

Gdzie ta śmierć ostateczna?

Kto jest ona?

Ostateczna wolna śmierć i śmierć zwykła, wypadkowa.

O zwykłej śmierci, wypadkowej.

Umieram, ale czyż przeszłość moja układa się do trumny? Umieram w terażniejszości, a przeszłość pozostaje i gdzieś tłucze się na jednym miejscu, oczekując „dalszego ciągu powieści“ i być może, zmusi mnie ona do tego, bym wyszedł z „ciemności grobowych“ i, chcąc nie chcąc, zaspokoił wszystkie moje wypowiedziane kiedyś pragnienia, spłacił życiu stare długi.

Umieram — ale czy się urywam? Albowiem śmierć przecinając dalszy tok życia, nie niszczy faktu mego byłego, zatrzymanego przez śmierć życia.

Umarłem, mając lat tyle a tyle.

Ale ten „ja“, który miał rok, czy umarł?

Czyż nie jest bezmyślnością mówić o zmartwychwstaniu ciała; nie zmartwychwstanie, ale wyjście z osłupienia „czasów i przestrzeni“ mego skostniałego w przeszłości życia — pozaśmiertelnego, albowiem śmierć go nie dotknęła.

To, co nazywamy śmiercią — jest nędznym widmem prawdziwej śmierci, rozciągającej się na „wszystkie czasy i przestrzenie“ w zupełności.

Gdzie jest ta śmierć i jak On, pragnący wśród pragnących, chce umrzeć zupełnie?

Raz tylko poczęło się życie — in potentu całe i raz tylko musi umrzeć całe — in actu.

Wiele jest we władzy człowieka, jeszcze więcej we wła-

dzy Boga, ale ta śmierć prawdziwa nie w naszej jest władzy  
— ludzkiej czy boskiej.

Stirb und werde !

A upragnione ostateczne :

Werde und stirb !

Siedzieli nad rzekami babilońskimi i płakali.

Na szczęśliwych brzegach przyszłości, głos wysoki—pieśń  
pieśni. (Rozanow — każdemu sądzone jest zaśpiewać swoją  
pieśń pieśni).

Ale szeptem — wieczny „motyw smutku“ : po co, po co ?

W chłopięctwie zapamiętane wiersze (czyż nie banalne  
a nieśmiertelne ?) : Ich weiss nicht, was soll es bedeuten...

I inne wiersze, poznane później :

Czemuż to kur, nowego herold życia,  
na miejskiej ścianie bije skrzydłem swym ?

(Mandelsztam)

Ośłupienie po bezsennej, nad książką spędzonej nocy.  
Czyś obudził się nagle i nic nie rozumiesz, czy umierasz i zno-  
wu nie rozumiesz. Zupełnie sam.

Nieśmiały szary poranek.

Nagły krzyk koguta.

Kogut pieje, nie można inaczej, stanowczo musi zapaść,  
niezbędna konieczność.

Przez noc napuchła mu w wolu cała radość życia i oto  
nie daje mu spokoju, dręczy, szuka wyjścia.

— Czy nie w śmierci ? —

— Życie — iść, śmierć — wyjść.

Chrypienie, jeszcze jeden ostatni wysiłek i czysty krzyk.

Czy nie koniec końców : radości, strat, samotności, krzywd,  
słów, spotkań, a ty, Hamlecie, wciąż grasz jeszcze swą uprzyk-  
rzoną rolę i czyż nie poruszy się w tobie myśl błoga : śmierć  
to takie same

«nie można inaczej»

jak zaranny krzyk koguta.

Umieramy — urywamy się, a życie pozostaje. Ach, gdy-  
by ze mną całe życie umarło, — wszystkie koguty, i czyż nie  
słyszemy czasem głosu samego życia : gdy ja będę całe umie-  
rać, ty będziesz ucztować ze mną na ostatniej uczcie.

Cóż to za uczta ostatnia?

Hosanna?! — I niewinnie zamęczone dziecko, o którym mówi Iwan Karamazow, przebaczy swemu dręczycielowi i matka, która za dziecko „przebaczyć nie śmie“, przebaczy również, ponieważ dziecko przebaczyło i klepie rączkami po niegolonych policzkach łotra.

I wszyscy śmieją się i płaczą...

Tak, być może, ale ja o czym innym.

Rozanow mówi o wieczystych „jest“, na których świat się trzyma, — o wieczności „ja“, mego „strapienia“, „mojej radości“ i dodam — nienawiści.

I wszystkie te „jest“, ludzkie i boskie, niezgodne, niewspółmierne, wykluczające się nawzajem, zaprzysięgłszy wieczną przyjaźń i wierność, staną pod jednym wielkim sztandarem — wszystkie — jak jeden człowiek.

Radość — do końca radość, strapienie — do końca strapienie, nienawiść — do końca nienawiść, wszystkie „jest“ — do końca „jest“, i dlatego wszystkie one razem to bracia, to towarzysze, i jedno tylko wszystkie mają: umrzeć zupełnie, wszystkiemu życiu ze wszystkich sił życia.

Czy nie ulęknie się śmierć wielkiego śmierciolubstwa życia, czy nie rozgniewa się?

Ja, śmierć, nie pragnę zgoła ciebie, życia.

A życie wciąż będzie czekać.

Gdzieś ty, Nieznany Towarzyszu, — śmierci.

Domysł: kiedy zgaśnie ostatnia nadzieja w ostatnim ciałku krwi i nie pozostanie nic już więcej, żadnej nadziei, a my wciąż będziemy czekać, czyż nie usłyszymy wówczas, zamienieni w słupy soli, bogaci, szczęśliwi pechowcy, czyż nie usłyszymy — głosu: czekaliście na mnie, a ja czekałem na was. Czekałem, — kiedy nareszcie straciecie wiarę we mnie, a straciwszy wiarę, zamienicie się w samo oczekiwanie.

I jeśli śmierć ostateczna — jest początkiem nowego życia, to przecież myśmy go nie oczekiwali.



Idziesz jak ja kiedyś z bramy,  
oczy zwrócone masz w bok.  
I ja je spuszczałam tak samo!  
Przechodniu! Ach, wstrzymaj krok.

Przeczytaj kurzyślep rwąc gminny  
i maku zrywając kwiat,  
że mnie nazywano Mariną  
i ile przeżyłam lat.

I nie myśl, że to mogiła,  
że wstanę — nie wolno rwać!  
Jam nazbyt sama lubiła,  
gdy nie wypada, się śmiać.

I włosy trefiłam co dnia,  
i serca walił mi tłok.  
Jam także była, przechodniu!  
Przechodniu! Ach, wstrzymaj krok.

I na co mi wieczność cała,  
na co złożono mnie w grób?  
Jam tak do ziemi nie chciała  
iść z ziemi najdroższej dróg!

Zerwij łądkę tę młodą,  
poziomkę tę do ust włóż,  
ponad cmentarną jagodę  
nic nie ma słodsze go już.

Lecz nie stój tak nieprzytomnie  
z głową zwieszoną — bez słów.  
Na chwilę podumaj o mnie,  
za chwilę zapomnij znów.

Jak kładzie się na twojej twarzy  
promieni złocistych kłos...  
— I niechaj cię nie przeraża  
z pod ziemi brzącający mój głos!

MARINA CWIETAJEWA

Z rosyjskiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

\* \* \*

Z nadludzkiem, tępym tłuc wyrachowaniem,  
łopatą tłuc o piasek zamarznąty,  
łopatą tłuc o obcą cudzą ziemię,  
by wytłuc z niej nareszcie skąpe prawo  
do nocy z snu wyzutej,  
do zmęczonego dnia  
przenikniętego uporczywym dreszczem  
z rozpaczy głuchej i nadziei skąpej,  
z głodu.

I oto  
w wygnania pustce zabłąkany,  
w pustce, co wpada do pustyni świata,  
odczułem nagle nieprzewyciężoną  
tęsknotę wielką ludzi utrudzonych  
za błogą chwilą odpoczynku w ciszy.

Tak do ucieczki przymuszony krok  
na okrętu obcego zbawczy pokład ów  
stał się ducha ucieczką z światowego chłodu  
ku niesławnej rozkoszy kominkowych skier,  
ku domowemu, ogrzanemu niebu.  
Niech mówią mędrcy, że nie z skąpych kruszyn  
dorywczej, czerstwej, nędznej jałmużny  
ulepi człowiek wędrowną lepiankę,  
lecz że z wysokich muzykalnych myśli  
olbrzymi gmach się dźwiga tajemniczy,  
który Duch wielki za siedzibę obrał,  
DOM  
napisany przez wielkie litery.

Adam, bezdomny tułacz — nasze ciało  
o, jak ta nędzna pragnie rośliny  
prostej, drewnianej, ciepłej przytulności,  
której by wicher lodowy nie dosięgnął —  
napisanego przez maleńkie d,  
choćby kruchej, choć tymczasowego  
d o m u.

LEW GOMOLICKI

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

\* \* \*

Niech życie z każdym dniem wciąż bardziej mąci głowę,  
niech wciąż z człowiekiem trudniej jest nawiązać nić  
i niech wysiłki będą coraz mniej celowe,  
dzięki jedynie Ci za prawo: żyć.

Niech nami w dymie i we mgłę zagadki  
kołysze zgubnie każdy chwiejny krok  
jak ciche, wątle rzeczne parostatki  
płynące z dala w oceanu mrok.

Zaprawdę marna — marna to zapłata:  
westchnienie, iza — za step, za ptactwa śpiew,  
za miły głos, za oczy człeka-brata,  
za życiodajny z pól idący wiew.

DOWID KNUT

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

Znów szepce nam Hamlet jak dawniej,  
 że wróg jest podstępny i zły;  
 znów z książką otwartą w zadumie  
 marzenia swe ściga i sny.

Tak samo wciąż chylą się wierzby  
 wpatrzone milcząco w wód toń,  
 tak samo bezradnie Ofelia  
 nad rzeką wyciąga swą dłoń.

Tak samo szatańsko wciąż dźwięczy  
 aktorski łudzący nas śmiech  
 i ręce rozchyła artystka.  
 Wciąż wszystko — jad, zbrodnia i grzech.

Wciąż dusza gotowa w teatrze  
 roztkliwić się, wzruszyć do łez  
 nad losem duńskiego księżęcia,  
 którego tragiczny zna kres.

I nagle się budzi nam w sereu  
 z zamętu tłoczących je fal:  
 dla niego, dla wszystkich, dla siebie  
 współzucie, i tklivość, i żal.

ANTONIN ŁADINSKI

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

## RÓŻA ŚMIERCI

W czarnym parku wiosnę-śmy witali,  
 cicho klamał nam groszowy smyczek,  
 na balonie śmierć się tam spuszczała  
 zaglądając kochankom w oblicza.

Noc różowa, wiatr różami kręci.  
 Wieszez na polach kreśli znaków kwiaty.  
 Noc różowa, róże pachną śmiercią,  
 śnieg zielony sypie drzewom płaty.

Gwiazdne niebo w ciemnościach się graży,  
 słowik śpiewa z motorów muzyką  
 i w kiosku nad zielonym morzem  
 suchotniczy gaz mrugając pyka.

Odplywają łodzie w niebie gwiazdnem,  
 duchów tłum je chusteczkami żegna  
 i błysnąwszy przez ciemności bezdnie  
 pod wiaduktem pociąg huczy sygnał.

Tłumy z miasta uciekają w góry,  
 noc szaleje w dancingowej sali,  
 a żołnierze opuszczając mury  
 żłopia piwo na dworcowej hali.

Nisko, nisko słysząc dusz wołanie  
 księżyc płynie nad cyrkową bramą,  
 a z bulwaru przy drżącym organie  
 karuzela wymachuje damom.

Wreszcie wiosna uśmiechnięta blade  
 ustępując każdą ładę ćwierć  
 ciemno-siny wachlarz już rozkłada,  
 gdzie widnieje krótki napis: śmierć.

BORIS POPLAWSKI

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

Szumiący, dzwoniący mrok,  
 światło, blask, co się pali  
 powiedz: w odwiecznej dali  
 czyj usłyszałeś krok?

Krew już przepływa wśród żył,  
 tok jej opada i wzbiera,  
 życia nie czułem — a teraz  
 czuję, jak pełne jest sił.

Jak dziecko w objęciu rąk  
 w śnie odnajdziesz swe drogi  
 i poprzez płomień ubogi  
 wstąpisz w strzeżony krąg.

FRIEDRICH HEBBEL

Z niemieckiego przełożył Paweł Hertz

## J E S I E Ń

Padają złote liście z wysoka, z daleka,  
 jak gdyby w niebie więdły samotne ogrody,  
 padają z rozżalenia gestem i markotnie.

A nocą ciężka ziemia z gwiazdzonego nieba  
 w Nielitosną głębinę pada i samotnię.

Wszyscy padamy. Oto ślania się ta ręka.  
 Spójrzj na inne: wszędzie ta sama udreka.

A przecież jest ów Jeden, co wszelkie padanie  
 dłońmi trzyma, błogimi niewypowiedzianie.

RAINER MARIA RILKE

Z niemieckiego przełożył Tadeusz Bocheński

## KRAJOBAZ IRONICZNY

Podobne zmiętej obdartusa twarzy  
 Chwiejąc się groźnie jak pijane trumny  
 Poza gór siność kłęb chmur ciągnie tłumny,  
 Ze strzępów ich ostatnim ogniem słońce praży.

I rośnie czarne brzuszysko znad ziemi  
 Żandarm, który w pilności rygoru nie szczędzi,  
 Rękami zły potrząsa i ciskając niemi  
 Tabuny chmur rumianych w Niewiadome pędzi.

KLABUND

Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

Zdrój szumi śpiewne pieśni fal.  
Biel chmur na niebie zwiła modrym.  
Ludzie w milczeniu idą w dal  
wieczorem poprzez stary ogród.

Marmury toną w szarej mgle,  
Lot ptaków znaczy szlak w przestrzeni.  
A jakiś faun na ciemnym tle  
spogląda martwym okiem w cieniu.

Z drzewa czerwony spada liść,  
poprzez otwarte leci okno,  
a w dali błysk ognisty łśni  
malując wizję przeokropną.

Ktoś obcy wszedł w domowy krąg.  
Pies wpadł poczuwszy kroki jakieś.  
Lampa rozświetla ciemny dom,  
a ucho słyszy dźwięk sonaty.

#### POPOŁUDNIEM WYSZEPTANE

Słońce, trwożny blask jesieni,  
w zielen traw opadły owoc.  
Długa cisza południowa  
w zbłękitniałych łśni przestrzeniach.

Ciemne dźwięki śmierci przyjdziem  
w metalowych tonach dźwięczą.  
Ostrą pieśń brązowych dziewcząt  
rozwiął poszum spadłych liści.

Więc szaleństwa wietrzy tony  
fortepianu dźwięk łagodny.  
Cienie siecią smug oplotły  
wzgórza w czerni zanurzone.

Już gitary brzmia boleśnie  
w wieczór wina i milczenia,  
a pod lampy ciepłym cieniem  
kroczyś ty — jak gdyby we śnie.

GEORG TRAKL

Z niemieckiego przełożył Jerzy Kamil Weintraub

## KRONIKA SŁOWIAŃSKA

Poeta czeski Franciszek Halas otrzymał w konkursie literackim pierwszą nagrodę za zbiór poezyj p. t. „Kniha versu”.

W Pradze ukazała się odbliska ze „Slovanského Prehledu“ zawierająca przekład pieśni drugiej czwartego rapsodu „Króla Ducha”. Tłumaczenia dokonał Adolf Czerny, który pracuje nad przekładem całego poematu Słowackiego.

Poeta czeski Józef Hora przełożył wybór poezyj Borisa Pasternaka. Książka ukazała się w Pradze nakładem firmy Melantrich.

Andrzej Żarnow, znany tłumacz słowacki naszych pisarzy, opracował antologię p. t. „U poetów polskich”, uwzględniającą najważniejsze zjawiska naszej poezji pomijając jednak czasy ostatnie.

Rudolf Dilong, słowacki poeta-franciszkanin, przygotowuje do druku nowy zbiorek poezyj p. t. „Mlady svadobnik”.

Iwan Krasko, pierwszy modernista w poezji słowackiej, obchodzi w r. b. sześćdziesięciolecie swych urodzin. Dla uczczenia tego jubileuszu wyd. L. Mazacz w Pradze przystępuje do zapoczątkowania nowej serii edycji młodych autorów słowackich, którą zainauguruje zbiór utworów Kraski.

Stanisław K. Papierkowski wydał wybór swych przekładów z poezji jugosłowiańskiej. Książka poprzedzona wstępem tłumacza zaznajamia czytelnika polskiego z utworami trzech poetów: Aleksy Szantića, Jovana Duczića i Gustawa Krkleca. Niektóre z nich były drukowane w ubiegłym roku w „Kamienie”. Jest to pierwszy w języku polskim zbiór utworów ze współczesnej liryki jugosłowiańskiej.

Wychodzące w Beogradzie najlepsze współczesne czasopismo literackie Jugosławii, „Srpski Književni Glasnik“ zamieściło w zeszytzie z marca 1936 dłuższą wzmiankę, poświęconą Stanisławowi Przybyszewskiemu. Wzmiankę tę wywołał artykuł Fr. Servaesa „Vom jungen Przybyszewski” wydrukowany w „Pologne Littéraire“ z 15.I 1936 r. Autor notatki jugosłowiańskiej widzi w Przybyszewskim jednego z największych pisarzy świata.

Znany polonofil, profesor uniwersytetu w Zagrzebiu, Franciszek Ilesz, napisał broszurę o Marszałku Piłsudskim („Józef Piłsudski” Zagrzeb 1936), chcąc „umożliwić swoim rodakom poznanie wielkiego Marszałka i Ojca Ojczyzny Polaków”. Broszura napisana z wielką sympatią dla narodu polskiego i prawdziwym pietyzmem w stosunku do Marszałka ma w zasadzie charakter informacyjny.

Towarzystwo wydawnicze „Minerwa“ w Zagrzebiu wydaje od kilku lat przekłady serbochorwackie klasyków literatury rosyjskiej w wytwornej szacie zewnętrznej. Dotychczas ukazały się przekłady dzieł następujących pisarzy: Tołstoja, Dostojewskiego, Gorkiego, Gonczarowa, Gogola, Czechowa, Turgieniewa. Przekładów tych dokonał utalentowany tłumacz szeregu utworów pisarzy polskich Iso Velikanović.

Z NOWYCH PERIODYKÓW na uwagę zasługuje warszawski miesięcznik literacki „Studio” Ukazało się już siedem zeszytów tego interesującego redagowanego przez Bog. Kuczyńskiego pisma. Już sam jego program jest zastanawiający. Oto w dobie dzisiejszych tendencji z prawa i z lewa do zgleichschaltowania literatury „Studio” stawia sobie za zadanie „zapewnić dojsie do głosu tym formom literackiej twórczości, które wyłamują się spod nacisku zarówno estetycznego jak ideologicznego konwensu, i pragnie ukazać tą drogę człowieka w miejscu..., w którym on jak najmniej podlega sugestiom zbiorowym, ujętym w formułę wyznania wiary artystycznej, filozoficznej czy społecznej”. Poza więcej lub mniej wartościowymi utworami ściśle literackimi (nazwiska znane i uznane: Nałkowska, Choromański, Schultz; interesujące debiuty: Breza, Truchanowski) znajdujemy tu zgodnie zresztą z zapowiedzią redakcji ciekawe surowce i wypowiedzi (wyjątki z listów i podań, wyznania autorów dotyczące t. zw. „kuchni” pisarskiej, głosy redaktorów pism literackich, rezultaty ankiety na temat: Kim jestem, co czytam i co piszę.) Bogactwo i rozmaitość treści pisma, którego poziom podnosi się z każdym numerem, każą z największą uwagą i sympatią śledzić jego rozwój.

PAŹDZIERNIKOWY NUMER „TĘCZY” przynosi m. in. interesujący artykuł Stan. J. Nowaka „Swastyka w Polsce” Autor stwierdza istnienie w Polsce dwóch wielkich organizacji: Jungdeutsche Partei („młodych”) i Deutsche Vereinigung („starych”) różniących się między sobą metodami i taktyką działalności, pracujących jednak zgodnie w duchu hitlerowskim, oraz informuje o ich prasie i działalności. Nowak dochodzi do wniosku, że „mniejszość niemiecka w Polsce... jest w przededniu... złączenia się w jeden jednolity obóz stojący pod sztandarem narodowo-socjalistycznym, całkowicie uzależniony od Berlina” i kończy swe ciekawe rozważania przypomnieniem, iż „narodowy socjalizm nakazuje Niemcom w Polsce: utrzymać dotychczasowy stan posiadania, pielęgnować kulturę i obyczaje Niemiec hitlerowskich, utwierdzać nlemieckość wśród ludności polskiej oraz torować drogę pochodowi Niemców na Wschód”

PO GŁOŚNYCH DZIŚ W CAŁEJ POLSCE, niepozabawionych smutnego komizmu perypetiach z lwowskim starostwem grodzkim ukazał się październikowy nr. „Sygnałów” Otwiera go fragment z powieści Kruczkowskiego „Sidła”, po którym następuje artykuł Stan. Salzmanc „Oblicze społeczne Słowackiego” Nie ma w nim rewelacji, ale pożytecznie jest, że Salzman przypomniał czytelnikom stanowisko społeczne Słowackiego, a rozważanie swoje oparł na szeregu cytatów z twórczości poety. Dalej czytamy artykuł Byliny o brukselskim kongresie pokoju, interesujący essay A. Wyleżyńskiej o A. Malraux, urywki z uwag o sztuce Valéry'ego, przekład entuzjastycznego artykułu Upt. Sinclaira o Conradzie i in. Z wierszy na uwagę zasługuje „Maria Stuart” L. Szereszewskiej i utwór J. Putramenta nie wiadomo dlaczego ucięty na przecinku. Numer uzupełniają reprodukcje ze współczesnej plastyki ukraińskiej.

NOWY POEMAT MARIANA CZUCHNOWSKIEGO „Powódź i świat” uległ konfiskacie, mimo że fragmenty jego zamieszczane w swoim czasie w różnych czasopismach nie były kwestionowane. Jak donosi ostatnio „Robotnik”, Czuchnowski został areztowany. Gorlice boją się poezji.

RUCH WYDawniczy NA RYNKU POETYCKIM. Jak zwykle w sezonie jesiennym ożywienie. Notujemy nowy zbiór poezji Jana Brzękowskiego „Zaciśnięte dookoła ust”, tom przekładów z poezji francuskiej niestrudzonego poety, tłumacza i essayisty Stefana Napierskiego p. t. „Liryka francuska” t. 1, nowa zbiorek poetycki Stanisława Wygodzkiego „Żywiół liścia”, wiersze Andrzeja Wolicy osnute głównie na tematach więziennych „Z kamiennego domu”, Juliusza Wita—„Lampy” i Wacława Mrozowskiego „Dobranoc... dobranoc” — kaj —

*Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę za rok 1936/37 (5 zł. rocznie, 2 zł. 50 gr za półrocze).*

## ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Dr. S. B. w POZNANIU. Dziękujemy uprzejmie za nadesłane wiersze „Kamienie“ pójdą w tatrzańskim numerze. „Niedźwiedzia niebieskiego“ zatrzymujemy w tece. Opłata za prenumeratę, „Kamieny“ uiszczona za rocznik trzeci.

P. JERZY K. W. w WARSZAWIE. „Zakopiańskie przedwiośnie“ zamieścimy, ale nie w numerze tatrzańskim, gdyż nie jest utworem ściśle górskim. Dziękujemy.

P. ANNA CHR. w WARSZAWIE. Dziękujemy uprzejmie za nadesłane wiersze, które zatrzymujemy w tece. „Smutek“ wydrukujemy w jednym z najbliższych numerów.

P. MARIA BOD. w WARSZAWIE. Nadesłane wiersze świadczą bez wątpienia o pewnych zdolnościach poetyckich, ale są zbyt rozlewne i trącą młodopolszczyzną. Najlepszy z nich „Chodzę własnymi drogami“ — może zamieścimy. W każdym razie prosimy o nas nie zapominać i po kilku miesiącach przysłać coś nowego lepszego.

---

Numer grudniowy „Kamieny“ będzie w całości poświęcony Tatom. Prosimy o nadsyłanie odpowiedniego materiału do dn. 20. listopada włącznie.

---

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Jan Brzękowski: Zaciśnięte dookoła ust. Biblioteka „a. r.“ tom 7.

Marian Czuchnowski: Powódź i śmierć. Biblioteka „Nowej Wsi“ № 2. Kraków 1936.

Dr. Tadeusz Feliks Hahn: Anonima diariusz peregrynacji włoskiej, hiszpańskiej i portugalskiej z r. 1595. Lwów 1935.

Wacław Mrozowski: Dobranoc... dobranoc. F. Hoesick—Warszawa—1936.

Stefan Napierski: Liryicy francuscy t. I Warszawa 1936.

Marian Piechal: Srebrna waga. T-wo Wydawnicze, Warszawa 1936.

Juliusz Słowacki: Kral Duch rapsodie IV piseń 2. przełożył Adolf Czerny, Praha 1936.

„Słowak“: Rola Słowaczyny w militarnym sojuszu Czechów z bolszewicką Rosją. Warszawa 1936.

Aleksa Szantić, Jovan Duczić, Gustaw Krklec: Poezje, przełożył i wstępem zaopatrzył Stanisław K. Papierkowski, Lublin 1936.

Stanisław Wygodzki: Żywiol liścia. Biblioteka „Okolicy poetów“ № 4, Kraków 1936.



Biuletyn Polsko-Ukraiński № 179—182  
Dekada № 1—2  
Elan № 1  
Kronika Nadbużańska № 40—43  
Merkuriusz Polski № 31—33  
Miecz № 121—124  
Myśl Polska № 17—18  
Naród i Państwo № 35—38  
Nazustricz № 19—20  
Obriji № 25—26  
Pion № 40—43  
Praca Oświatowa № 8  
Prosto z mostu № 43—46  
Skamander № 71—75  
Studio № 7  
Sygnały № 22  
Tęcza № 10  
Tygodnik Ilustrowany № 40—43  
Zet Nr. 101—102.

Najnowsze wydawnictwa  
„Biblioteki K a m e n y“



Nr. 7. ZDZISŁAW POPOWSKI: PIEŚNI UROCZYSTE

W LISTOPADZIE UKAŻĄ SIĘ:

Nr. 8. OLGA DAUKSZTA: WALET KIEROWY

Nr. 9. K. A. JAWORSKI: W POŁOWIE DROGI

DO NABYCIA W KSIĘGARNI T-WA WYDAW-  
NICZEGO W WARSZAWIE, MAZOWIECKA 12.